

Dwie kobiety na całe życie. Rozmowa z Mirosławą Gruszczyk, laureatką nagrody im. Jana Rodowicza „Anody”

Jak zabiłam kurę na rosół, to Tamara i Masza przez dwa tygodnie nad nią płakały, że to specjalnie dla nich, że tracę pieniądze. Wtedy zrozumiałam, że muszą mieć swoje pieniądze, żeby czuły się u mnie w miarę pewnie i bezpiecznie. Zaczęłam dzwonić po znajomych, wyjaśniałam sytuację. Ludzie mnie zaskoczyli – jeden znajomym dał pieniądze, drugi też, kuzynka przywiozła zastrzyki, chodziki i inne potrzebne rzeczy. To była naprawdę lawina dobra! – mówi Mirosława Gruszczyk o dwóch Ukrainkach, którymi zaopiekowała się po ciężkim wypadku, jakiego doznały w Polsce. Laureatka nagrody im. Jana Rodowicza „Anody” opowiedziała całą historię Albertowi Mazurkowi.

Albert Mazurek („Teologia Polityczna”): Została pani uhonorowana nagrodą im. Jana Rodowicza „Anody” dla „powstańców czasów pokoju”. Opiekowała się pani dwiema nieznajomymi Ukrainkami – panią Tamarą i panią Maszę – które w Pszczynie zostały potrącone przez samochód po tym, jak przyjechały do pracy w Polsce. Jak to wszystko się zaczęło?

Mirosława Gruszczyk: Sąsiadka mojego brata, Ela, przez jakiś czas pracowała z Tamarą. Po tygodniu wymieniły się numerami telefonów. Później Tamara opowiadała mi, że Polacy raczej nie chcieli podawać swoich telefonów Ukrainkom, ale – dzięki Bogu – Ela była chlubnym

wyjątkiem. Po opuszczeniu szpitala Tamara i Masza nie mogły zamieszkać razem w hotelu robotniczym, a pracodawca, mimo że były w ciężkim stanie, chciał po cichu wywieźć je na Ukrainę, żeby nie stwarzały problemów. Maszka usłyszała wtedy, że „ma wynosić się na ulicę”; Tamara mogła zostać w hotelu kilka dni. Tamara nie wiedziała co robić, dzwoniła do konsula, do nielicznych znajomych – tylko Ela się odezwała.

Ela, jak powiedziałam, jest sąsiadką mojego brata i jeśli ma jakiś problem, to idzie do niego po radę. Brat, gdy tylko się dowiedział, od razu do mnie zadzwonił („Mirka, słuchaj, jest problem”). Pomyślałam, że mogę pomóc, wielkie mecyje, mam dom, mogę ją przyjąć na dwie noce. Akurat byłam wtedy w Pszczynie, więc po 10 minutach podjechałam pod hotel.

Wtedy spotkała je pani po raz pierwszy?

Zobaczyłam wtedy zapłakaną kobietę, tak zapłakaną, że serce pękało. Jeśli chcę komuś streścić tę historię, to mówię, żeby spróbował sobie wyobrazić, jak wielkiego upodlenia i poniżenia trzeba doświadczyć, żeby, kiedy ktoś ci w końcu pomoże, upaść na kolana i całować go po rękach. To była Maszka, którą potrącił samochód dosłownie po dwóch godzinach pobytu w Polsce. Przyjechała tu z nadzieją, że zarobi pieniądze, a przeżyła tu piekło, także w szpitalu.

W szpitalu?

W szpitalu człowiek oddaje swoje życie i zdrowie w ręce lekarzy; boi się, jest przerażony. A co usłyszały dziewczyny? „One są z Ukrainy, my tu takich nie lubimy” albo „Proszę to schować, bo leżą tu Ukrainki i mogą to ukraść”. Maszka nie dostawała leków przeciwbólowych. Jak człowiek, który ma złamaną kość łonową może funkcjonować bez środków przeciwbólowych?

Choć z drugiej strony do dziewczyn, co drugi dzień, przychodziło starsze małżeństwo z Ukrainy – pytali o to, jak się czują, przynosili jedzenie. Niesamowicie mnie tym ujęli. Chciałabym ich odszukać, żeby im podziękować. Natomiast ludzie z zakładu, w którym pracowała Tamara, zebrali dla Maszki pieniądze na ortezę.

Wróćmy może do tego, co działo się po wyjściu ze szpitala. Na początku przyjęła pani tylko panią Maszę. I to na dwa dni – do czasu aż będzie miała transport na Ukrainę. Natomiast pani Tamara, o czym pani wtedy nie wiedziała, była uziemiona w łóżku.

Tak, najpierw była ze mną tylko Maszka. Jak opowiadała mi o szpitalu, o siostrze, która leży w pampersie i nie może się ruszać, to nie mogłam uwierzyć, że w Polsce mogą dziać się takie rzeczy. Jednocześnie cały czas myślałam, że transport na Ukrainę to będzie karetka pogotowia. Kiedy okazało się, że chodzi o busa, który przywozi Ukraińców do pracy, to włosy stanęły mi dęba. To się w głowie nie mieści, że można być tak bezdusznym. Skonsultowałam się z braćmi, pojechałam po Tamarę i powiedziałam, że zostają tak długo, aż wszystko się zagoi. No i zostały.

Jak już je poznałam, to było mi strasznie wstyd za Polaków; nie sądziłam, że w Polsce robi się takie rzeczy, że traktuje się ludzi jak śmieci. Obie były wyniszczone nie tylko fizycznie, ale też psychicznie. Mówiły mi, że w Polsce czują jak *nikhto*. Kiedy były u mnie, to tak nieszczęśliwie się złożyło, że emitowano *Wołyń* Wojciecha Smarzowskiego. Opowiadały, że co drugi Polak wypominał im, że stracił kogoś na Wołyniu. Najłatwiej jest kopać leżącego, a one po tym wypadku leżały na łopatkach. Opowiedziałam im o rzezi wołyńskiej. Tamara z kolei opowiadała mi o tym, że dla Ukraińców Wołyń też był tragedią. Jej dziadek, który w 1943 roku był jeszcze dzieckiem, sam prawie stał się ofiarą polskiej akcji odwetowej. Zawsze wspominał, że żyje tylko dlatego, że Polak, który mierzył w jego głowę pistoletem, nie był w stanie nacisnąć spustu i kazał mu uciekać. Ten ból był po obydwu stronach.

Podjęła się pani całodziennej opieki, mimo że prowadziła pani gospodarstwo. Liczyła się pani z tym, że to może rodzić różne problemy, choćby komunikacyjne?

Myślę, że to był taki dar od mojej Mamy i ich Mamy, czyli Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, dla nas trzech, ja również dużo zyskałam dzięki nim. Bardzo dużo. Komunikacja nie była problemem, bardzo dobrze się rozumiałyśmy, zresztą pamiętałam język rosyjski ze szkoły. Problemem było to – do tej pory mam wyrzuty sumienia – że one miały zbyt poważne urazy, aby leczyć je w domu. Dzisiaj być może zrobiłabym to inaczej, zarzucam sobie, że Tamara mogłaby nie mieć nogi krótszej o 3 cm. Próbowalam kontaktować się z pracodawcą Tamary, przecież odprowadzał składki na ubezpieczenie. One powinny leczyć się w sanatorium, powinny mieć specjalistyczną opiekę. Wydaje mi się, że

Polak taką opiekę miałby zapewnioną. Nie mogłam im jej zapewnić, ale jaki miałam wybór? Wsadzić je do busa i wysłać na Ukrainę? Wybrałam mniejsze zło.

Po tym, jak przyjęła pani dwie Ukrainki do domu, ruszyła – jak to pani określiła – lawina dobra. Sąsiedzi i znajomi zaczęli oferować pomoc.

Przygarnęli je, traktowali ciepło i po ludzku. Dopiero wtedy zatarło się to wrażenie, że Polacy traktują je jak śmieci.

Na czym polegała ta pomoc?

Najpierw opowiem panu historię, bardzo ujmującą. Jak przywiozłam dziewczyny do domu, to zaproponowałam, że kupię leki z ich recept. Wzięłam te recepty, a Tamara mówi: „czekaj, czekaj, tu są nasze pieniądze; wszystko, co mamy”. Tam było 300 złotych, czyli pieniądze, które musi mieć każdy, kto jest na obczyźnie, żeby wrócił na Ukrainę. Oczywiście ich nie wzięłam. Pojechałam do apteki i kupiłam leki, ale potem – po jakimś czasie – wynosząc śmieci, zauważyłam, że nie ma w nich zużytych strzykawkę po lekach przeciwzakrzepowych. Pytam się dziewczyn, dlaczego nie biorą leków, na co one odpowiadają, że leki się skończyły, ale one nic nie mówiły, bo to nie *udobno*, że i tak są na mojej głowie. Wie pan, one nie chciały u mnie jeść, żeby nie narażać mnie na koszty. Jak zabiłam kurę na rosół, to przez dwa tygodnie nad nią płakały, że to specjalnie dla nich, że tracę pieniądze. Wtedy zrozumiałam, że muszą mieć swoje pieniądze, żeby czuły się u mnie w miarę pewnie i bezpiecznie. Zaczęłam dzwonić po znajomych,

wyjaśniałam sytuację. Ludzie mnie zaskoczyli – jeden znajomym dał pieniądze, drugi też, kuzynka przywiozła zastrzyki, chodziki i inne potrzebne rzeczy. Ktoś jeszcze przyniósł pampersy. Sąsiad codziennie przynosił świeże bułki. Starsza sąsiadka oddała swoje bursztynowe korale. I tak to działało. One po prostu musiały mieć swoje pieniądze, na rehabilitanta, na wizyty – żeby nie miały poczucia, że biorą ode mnie.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Kto by do mnie nie przyjechał i zobaczył, że tu są dziewczyny, i usłyszał ich historię, ten wiedział, że trzeba pomóc, zostawić jakieś pieniądze, jak na przykład zrobiła to pani weterynarz, która akurat przyjechała do gospodarstwa. One się przed tym broniły, mówiły, że czują się jak żebraczki, że to nie wypada. Ale ludzie i tak zostawiali pieniądze, wiedzieli ile kosztuje leczenie. Pamiętam, że pan Adam Zuber i jego żona opłacili bilety powrotne na Ukrainę, nawet wykupili dla dziewczyn podwójne miejsca, żeby było im wygodnie.

Wszyscy je przygarniali i pocieszali. Bo samotność to straszna trwoga. Chcieliśmy, żeby się nie czuły same i odrzucone. Na przykład sąsiadka, która rozmawiała z dziewczynami przez balkon, zapraszała je na obiad czy herbatę, kiedy widziała, że wychodzą na plac. Albo pielęgniarka, która zmieniała opatrunek Tamarze, kiedy zrobił się jej krwiak na nodze; później umawiała dla niej wizyty i zawoziła ją na prześwietlenia. Jestem dumna, że znam tylu dobrych ludzi. To była

naprawdę lawina dobra! I nadal jest. Ludzie wciąż wszyscy pytają o to, kiedy dziewczyny przyjadą z Ukrainy. A jak przyjadą, to cała wieś świętuje.

Po tym wszystkim stały się dla pani częścią rodziny?

Wzięłam jedną kobietę z Ukrainy na dwie noce, a zostały mi dwie kobiety na całe życie. Moja Matka Boska czuwała wtedy nade mną. Masza z Tamarą czasami nas odwiedzają a ja i cała moja rodzina czujemy, jakby były z nami od zawsze. Kiedy ich nie ma, to tęsknię – tak do nich przywykłam. To są moje siostry! To są tak dobre osoby, fajne kobiety. Pamiętam, że w lutym ubiegłego roku była Msza za moją mamę, miała przyjechać do mnie cała rodzina. Poprosiłam, żeby Tamara i Masza usiadły z nami do stołu. One nie chciały, mówiły, że to nie *udobno*, chciały cichutko przesiedzieć w swoim pokoju. Pomyślałam, że nie będę z nimi walczyć. Jak wszyscy przejechali, usiedliśmy do stołu, to bratowa zapytała: „a one gdzie?”. Kiedy jej odpowiedziałam, że się nie chcą robić problemu, to wstała, poszła do ich pokoju i powiedziała, że mają natychmiast przyjść do stołu. Traktowaliśmy je jak część rodziny.

Kiedy ktoś mi próbuje fiknąć, rzuca tekst „o Ukraińcach”, to zawsze mu mówię, że do pięt im nie dorastamy. One dwie są takie, że niejedna Polka mogłaby wiele się od nich nauczyć. A ludzie patrzą na nie z góry, bo Ukrainki inaczej wyglądają, bo mają złote zęby. Dzięki nim poznałam wielu ludzi z Ukrainy, to są zwykli, prości ludzie – w porównaniu z nimi wielu z nas to spalone egoistyczne domowe kocury, którym nic się nie chce.

Panie Masza i Tamara, co może nie wybrzmiało w trakcie naszej rozmowy, są siostrami. Jak wyglądał ich kontakt z rodziną na Ukrainie?

Przez pierwsze pół roku dziewczyny okłamywały rodzinę. Nikt nie wiedział, że miały operację. Mąż Tamary parę miesięcy wcześniej miał udar; bała się, że jak będzie się za bardzo przejmował, to może mu się coś stać. Słuchałam, jak opowiadały rodzinie, że właśnie idę do pracy, że mają zmianę. To była taka dodatkowa szpila, bo jak człowiek jest poraniony i poharatany, to jest ważne, żeby ktoś życzliwy był koło niego.

Dziewczyny pokazały mi dom swojego ojca, pana Wasyla, bardzo mnie to ujęło. Marzę o tym, żeby tam kiedyś pojechać.

Oprócz pomocy egzystencjalnej starała się pani zapewnić paniom Tamarze i Maszy pomoc prawną. Obie panie były poszkodowane w wypadku samochodowym, mogą zatem dochodzić odszkodowania od ubezpieczyciela. Czy udało się uzyskać pieniądze, choćby zwrot kosztów leczenia? Jak wyglądała, a może raczej, jak wygląda droga sądowa?

Popytałam znajomych o prawnika, który specjalizuje się w sprawach ubezpieczeniowych. Sama nie odważyłabym się tego robić, żeby nie ryzykować, że przez moją niewiedzę czy brak doświadczenia i praktyki, one stracą chociażby złotówkę. Znalazłam dobrego adwokata, zebrałyśmy całą dokumentację medyczną i złożyliśmy pozew.

Fantastycznie zachowała się pani sędzia, która na pierwszym terminie rozprawy wysłuchała nas do końca – mimo że miała inne obowiązki, inne rozprawy – ponieważ dowiedziała się, że dziewczyny muszą niedługo wyjechać. Umówiła biegłych psychiatrę i ortopedę, dzięki temu wszystko poszło dużo szybciej, dziewczyny wiedziały kiedy przyjechać z Ukrainy. Choć ubezpieczyciel ostatnio się uaktywnił, więc istnieje ryzyko, że będzie odwoływał się do sadu okręgowego. Jednak mam nadzieję, że ostatecznie dostaną te pieniądze.

Puściłam kiedyś dziewczynom *Ogniem i mieczem*, tam Rzędzian opowiadała, jak jego rodzina sądziła się przez lata z sąsiadami o gruszę, która rosła na miedzy. Mam nadzieję, że to nie będzie trwało tak długo – na pewno damy radę! One zresztą mi mówią: „Mirka, myśmy już tyle przeszły, wszystko, co najgorsze już za nami”.

Chciałbym zapytać o miejsce, w którym pracowała pani Tamara. Po wyjściu ze szpitala obie panie nie tylko nie mogły zamieszkać w hotelu robotniczym, ale także miały być odesłane – mimo ciężkiego stanu – na Ukrainę.

Tak naprawdę pracodawcą Tamary była agencja zatrudniająca osoby z Ukrainy, ale w rzeczywistości pracowała w zakładach mięsnych. Na początku myślałam, że ich właściciel o niczym nie wie, bo gdyby wiedział, to zachowałby się, jak przyzwoity człowiek. Ale on wiedział. Dlaczego nic nie zrobił? Pycha, egoizm?

Parszywe było to, że nie pozwolili dziewczynom mieszkać razem w hotelu robotniczym, choć Tamara proponowała, że może zapłacić za pokój z przysługującego jej wynagrodzenia. Chciała tam przeczekać, aż wszystko się zagoi, aż dostaną wszystkie papiery i będą mogły razem wrócić na Ukrainę. To nie powinno tak wyglądać. Zbrodnia – kara. Chociaż, czy aby na pewno? To będzie zagadka mojego życia. Może trzeba zrobić krok do tyłu i tylko się modlić? Nie wiem.

Jeżeli wycofujemy się, to dajemy sygnał, że nic się nie stało, przyzwolenie na takie działanie. Słyszałam też o innych bulwersujących przypadkach. Do Tamary dzwoniła koleżanka, która teraz jest już na Ukrainie. Jej mąż miał objawy udaru, więc odwieźli go busem do Lwowa – tak, jak chcieli odwieźć Tamarę i Maszę – chociaż był ubezpieczony. Ona też musiała wrócić, nie zostawiłaby go samego. Ostatnio okazało się, że ma guza na mózgu. Teraz ledwo wiążą koniec z końcem. Inny przypadek – jednemu panu urwało palec podczas pracy. I co robią? Wsadzają go do busa i wywożą. Dlaczego oni nie mogą być leczeni w Polsce? Przecież są ubezpieczeni. Dlaczego nie mogą tu normalnie pracować? Nie dość, że się ich okalecza, to jeszcze wywozi się ich praktycznie bez niczego na Ukrainę. Nawet nie do miejscowości, gdzie mieszkają, tylko do Lwowa. Po tego pana, który stracił palec, musiała przyjechać żona. Chcieli załatwić wszystko jak najszybciej.

Wyobraża pan sobie, jak to wygląda w skali kraju? Co z tego, że przyjdzie inspekcja pracy na zakład i wystawi mandat. Jakie te mandaty są w porównaniu do tego, że marnuje się człowiekowi kawał życia. Gdyby jeszcze zatrudniali na podstawie normalnych umów o pracę – a nie umów zlecenia – to Tamara dostałaby zwolnienie chorobowe.

Składka na ubezpieczenie jest tak niewielka, że aż ręce opadają. Wszyscy jesteśmy tak strasznie pazerni na pieniądze. A po co? Spróbujmy być zadowoleni z tego, co mamy.

Proszę na koniec powiedzieć, czym się Pani kierowała decydując się na wzięcie pani Tamary i pani Maszy do domu?

Mój ojciec zawsze powtarzał: „dzieci, pomagajcie, nie bójcie się – pomagajcie”. Jak możesz pomóc, to pomagaj. To dla mnie oczywiste, nieoczywiste jest to, że tylu ludzi im nie pomogło. Mnie spotkało tyle dobrego dzięki dziewczynom, że będę im wdzięczna do końca życia.

Do końca życia będę pamiętała, jak przywiozłam Tamarę i Maszę do domu. Razem położyły się do łóżka – zobaczyłam dwie kobiety tak szczęśliwe, jakby całe szczęście świata było w tym łóżku. Potem był jeszcze drugi taki moment, kiedy – po kilku miesiącach – odwiozłam je na autobus do Katowic. Pomyślałam sobie – choć może brzmi to górnolotnie – „Boże, jak niewiele trzeba było, żeby komuś nie zmarnować całego życia”. Mogły wrócić z długami, bez pieniędzy i z takimi obrażeniami, że musiałyby zapożyczyć się na leczenie. Na dworcu podeszła do nas Ukrainka z pytaniem, czy jestem ich pracodawczynią, one odpowiedziały: „to Polka, która uratowała nam życie”. Czasem mówią o mnie „nasza Mirka”, strasznie to lubię – większej nagrody nie potrzebuję. Nagroda Anody jest cudna, naprawdę wielka rzecz, ale to, co one powiedziały w Katowicach, to było bezcenne.

Rozmawiał Albert Mazurek

Współpraca redakcyjna Mateusz Szejna

W styczniu br. w Studzionce koło Pszczyny zdarzył się inny poważny wypadek, maszyna produkcyjna wciągnęła rękę 22-letniej Kingi, wskutek czego lewa kończyna została zmiażdżona. Pani Mirosława Gruszczyk, ale także panie Tamara i Masza gorąco proszą o **wsparcie zbiórki pieniężnej**, organizowanej przez Fundację Omnibus, na leczenie, rehabilitację i protezę dla Kingi.